

← ← ← ← ←

DYSKUSJA

⇒ ⇒ ⇒ ⇒ ⇒

W poszukiwaniu straconego czasu*

„Jakiegokolwiek były nasze wyobrażenia z dziecięcych lat o późniejszym życiu – z pewnością nie przeczuwaliśmy, że będziemy gnać z jednego zebrania na drugie i że ta forma całkowitego niebytu tak bez reszty zapanuje nad naszym losem. Osiągnąłem już to, co chciałem osiągnąć jako dziecko – sławę – i jaki był tego skutek? Profesura, która pochłaniała niemal każdą chwilę mego życia i wypluwała ją w postaci wciąż innych spotkań wśród tych samych ustawionych w krąg stołów, w tych samych dusznych niebieskich oparach dymu, z wciąż tymi samymi ludźmi, dzień w dzień, tak że od rana do nocy nie pozostawało mi już nic więcej prócz owych chwil niebytu i związanej z tym promieniującej do wewnątrz śmiertelnie nużącej wściekłości...”

Maarten't Hart – „Klucz kulików”

Tłum. Andrzej Wojtaś

„Powiedz, że to będzie narada, od której zależy szczęście ludzkości”.

Jean Girardoux – „Wariatka z Chaillot”

Tłum. Maciej Żurawski

*„...O, bodajby,**jeszcze**jedno posiedzenie**na temat wykorzenia wszystkich posiedzeń”*

Włodzimierz Majakowski – „Posiedzeniarze”

Tłum. Jerzy Putrament

1. Wstęp bez określenia celu

Od wielkiego Prousta zapożyczyłem tylko tytuł. Nastrój przed lekturą tworzą słowa tych, których uważam za moich poprzedników w studiach nad naturą posiedzeniarczy i istotą posiedzeniarstwa.

Jeden z moich przyjaciół, w odpowiedzi na przesłaną książkę, zauważył: *„Ty mogłeś napisać książkę, bo nie musiałeś jak inni siedzieć na zebraniach”.*

Oto bezpośrednia przyczyna, która skłoniła mnie do uporządkowania licznych rozważań na temat natury posiedzeniarstwa i przedstawienia próby typologii tych członków naszej społeczności, dla których udział w posiedzeniach stał się swoistą formą bytu.

* Pamiętnik ekologa z podróży służbowej do Warszawy.

Decyzję o natychmiastowym przygotowaniu do druku wielokrotnie odkładanego tekstu podjąłem w chwili zapowiadającej odrodzenie się wielkiej fali posiedzeniactwa.

Temat ten tylko nieznacznie dotyka kwestii „komitetowania”, tak wybornie przedstawionej w swoim czasie przez Parkinsona. Moje dowodzenia odnoszą się przede wszystkim do zachowań jednostki i grupy wprzęgniętych do opacznie rozumianej służby publicznej, podczas gdy ich pierwotne miejsce z wyboru jest gdzie indziej.

2. Morfologia i fizjologia posiedzeniactwa

Jako botanik i ekolog roślin chętnie korzystam z koncepcji i doświadczeń moich macierzystych dyscyplin. Tak też i uczynię tym razem, stwierdzając na początku co następuje:

Posiedzeniactwo ma w sobie coś z roślin, nie tylko dlatego, że niektórzy z nich lubią rośliny i z nich żyją. Jest to wynik osobliwej konwergencji mającej źródło w podobnym trybie życia.

Zatem z gorącym sercem i naukową rozwagą przeprowadzę właściwą paralelę. Uczynię to gorliwie, będąc w pełni świadomy, że przedmiotem owych dociekań jesteśmy my: uczeni–posiedzeniactwo.

A więc posiedzeniactwo najbardziej upodabnia do roślin osiadły tryb życia. Wprawdzie posiedzeniactwo zmieniają raz po raz miejsce posiedzeń, lecz roślinom też się to zdarza. Nawet wyróżnia się wśród nich grupę migrantów pod nazwą biegaczy stepowych, które korzystają z siły wiatru, inne wszakże czynią użytek z ruchu wody, z zapobiegliwości mrówek, inne wreszcie czepiają się zwierzęcej sierści i ludzkiej odzieży lub przenoszą się wraz z zawartością przewodu pokarmowego ptaków, itd.

Także wszystkie formy pokroju właściwe roślinom znajdziemy u posiedzeniactwa, a więc płózającą, pokładającą się, prosto wznoszącą się o własnych siłach lub wspierającą się na innych. Posiedzeniactwo – jak rośliny – często stają się przy tym kolczaści, zadzierzyści, szorstcy. Ich kora mózgowa jak kora dębu korkowego z czasem korkowacieje, czyli staje się korkiem. Pasożytnictwo, kooperacja, symbioza, komensalizm, altruizm, a nawet drapieżnictwo, występują pospolicie i w świecie roślin, i w świecie posiedzeniactwa. Nierzadkie też są różne formy przetrwalnikowe.

Nawet ci z nas, którzy chętnie się samodzielną i samożywną, podobnie jak rośliny zielone, mogliby korzystać bez ograniczeń z największego daru natury: energii słonecznej. Często jednak stosują samoograniczenie, wybierając miast świetlistych łąk, stepów i lasów, zadymione, duszne sale konferencyjne. Owych desperatów poznać można po zwiędłej cerze, wyblakłych oczach i spłaszczonych pośladkach.

Posiedzeniarze dopiero na starość odkrywają, że zatracili postawę pionową właściwą najwyżej zorganizowanym roślinom i człowiekowi. Wcześniej łatwo godzą się na utratę największej zdobyczy ewolucji: wdzięcznej linii kręgosłupa, którą porównuje się do kształtu litery S lub klucza wiolinowego, na rzecz linii podobnej do kształtu litery C lub klucza basowego. Spędzając za stołem prezydialnym coraz więcej czasu i oczekując unizonych pokłonów przed swoim biurkiem, sami przybierają pokrój rośliny pochylonej, płożącej lub pokładającej się.

Posiedzeniarze w stopniu nie mniejszym niż rośliny narażeni są na czynniki wywołujące stres. Nastąpiło więc przystosowanie jednych i drugich do cyklicznego przeżywania niesprzyjających warunków bytowania.

Trudno jednak wyobrazić sobie, by Korona Wszelkiego Stworzenia, pochylona ku ziemi, była w stanie bujnie kwitnąć i wydać dorodne owoce. Znane są wprawdzie w świecie roślin takie wyjątki, jednak nie one decydują o szacie roślinnej i obliczu Ziemi.

3. Wstęp do typologii genetycznej posiedzeniarzy

Niezbędny jest zabieg wstępny, zanim wybitni specjaliści od różnorodności biologicznej dokonają wielkiego i ostatecznego rozpoznania fenomenu różnorodności i przedstawią zadowalającą typologię w Królestwie Uczonych–Posiedzeniarzy. Proponuję więc tymczasowo wyróżnić pięć typów uczonych–posiedzeniarzy, tak jak to przekonująco uczyniono w stosunku do Królestwa Organizmów Jądrowych, wyróżniając w nim podkrólestwa: Roślin, Grzybów i Zwierząt. Nie da się wykluczyć, że odpowiednikiem Królestwa Organizmów Bejjądrowych będzie Królestwo Posiedzeniarzy Bezmózgowych.

Pierwszy typ tworzą ci, którzy uwierzyli, że przenosząc się z posiedzenia na posiedzenie, służą dobrej sprawie, niby kapłanki wiecznego ognia, że zjednywali względy zwierzchności dla rozwoju nauki, ochrony przyrody lub innych spraw publicznych. Przez lata żyją złudzeniami, że pchnęli świętą sprawę na właściwe tory lub zatrzymali niewłaściwy bieg wypadków. Na tą okoliczność można by przytoczyć wiele mądrych słów z dzieł filozofów i pisarzy.

Drugi typ skupia tych, którzy pragnęli poświęcić swój czas, siły i zdrowie, by choć przez chwilę być zauważonym, by ogrzać się w blasku ważniejszych lub mądrzejszych od siebie.

Jako **trzeci typ**, który łączy dwa pierwsze, wymienić wypada tych, którzy upatrywali w posiedzeniarstwie okazję nagłego zabłyśnięcia lub stopniowego wspinania się na drabinę władzy, nierzadko z myślą wyprzedzenia lub ograniczenia kolegów. W świecie roślin i zwierząt zjawisko to nazywa się konkurencją.

Nie sposób pominąć **typu czwartego** i troszeczkę się nad nim zadumać. Należą do tego typu niektórzy z nas, nasi bliźni, dawniej może koledzy lub przyjaciele,

którzy gdzieś po drodze zwątpili w sens swej działalności naukowej lub dydaktycznej, utracili wiarę w swe siły i możliwości. Nie chcąc się zdecydować na zmianę zawodu lub zainteresowań, głoszą z żalem, że w ogólnym interesie zmierzają na kolejne zebranie. Nie chcą się przyznać wobec siebie i innych, że nawet nie uczestniczą w poszukiwaniu straconego czasu. Żartują, że nie warto zaśmiecać literatury naukowej, bo inni, lepsi, już to na pewno zrobili. Jeśli tak mówią starsi, można ten punkt widzenia przyjąć do wiadomości. Mawiają tak także niektórzy młodzi, do niedawna dobrze zapowiadający się w nauce. Czyżby dla nich permanentne uczestnictwo w posiedzeniach stało się formą ukrytej renty lub wstydliwą, przedwczesną, ale wygodną emeryturą?

Jest jeszcze **typ piąty**. To ci, którzy kogoś zastępują, uczestniczą w posiedzeniach na zlecenie szefa, czasem reprezentują mało znaczącą instytucję. Nigdy nie mają nic do powiedzenia. Milczeniem wyrażają swoją obecność.

Wreszcie zdobycz ostatnich czasów: **typ szósty**. To członkowie coraz liczniejszych rad nadzorczych, którzy uczestnicząc w posiedzeniach, dorabiają do niskiej pensji. Nie da się jednak zaprzeczyć, że tą drogą zdobywają niekiedy środki na wyposażenie pracowni lub badania naukowe.

Tym, którzy pośpiesznie chcieliby siebie lub kolegę zaliczyć do jednego z sześciu wyróżnionych wyżej typów, zwracam uwagę, że w typologii posiedzeniarzy, jak w każdej typologii, wiele obiektów z trudem daje się jednoznacznie zaliczyć do któregoś z typów, część reprezentuje formy przejściowe, podtypy, mieszańce, itp.

4. Struktura socjalna populacji posiedzeniarzy

Dotąd rozpatrywaliśmy naturę każdego posiedzeniarza z osobna. Teraz pora spojrzeć na rolę każdego z nich w zbiorowości i na części lub całość tej zbiorowości.

Posiedzeniarze uczestniczący w powtarzających się posiedzeniach z uwagi na pochodzenie, zachowanie się i określony terytorializm tworzą populację. Populacji posiedzeniarzy właściwe są różne struktury. Najważniejsza jest struktura socjalna posiedzeniarzy i tej to strukturze poświęcimy nieco uwagi. W zgodzie z wcześniej przyjętymi założeniami o jedności świata roślin i świata posiedzeniarzy, tym razem posłużymy się wypróbowaną klasyfikacją. Będzie to klasyfikacja Kraftha. Ponad 100 lat temu wymyślił ją niemiecki badacz struktury lasu i z niewielkimi modyfikacjami stosuje się ją do dziś w leśnictwie i ekologii lasu do opisu struktury drzewostanu. Mówi się, że ta klasyfikacja jest przestarzała, ale nikt lepszej nie wymyślił. Jest ona tak pomyślana, że wskazuje nie tylko aktualną pozycję każdego drzewa w drzewostanie, ale pozwala na przewidywanie jego dalszego losu. Obserwacje czynione w pewnych odstępach czasu nad tym samym drzewostanem pozwalają istotnie stwierdzić zmianę pozycji tego czy owego drzewa wśród pozostałych drzew. Przyjmujemy, że tak się rzecz ma również w populacji posiedzeniarzy. Klas jest

pięć, ale odwrotnie niż w szkole: sukcesem jest znalezienie się w klasie pierwszej lub drugiej.

A więc mamy **pierwszą klasę** drzew górujących i klasę posiedzeniarczy górujących. Zwykle klasę tę reprezentuje jeden, rzadziej kilka osobników, wytrwale wzmacniających swą pozycję. Osobniki te rzeczywiście górują nad całą zbiorowością nie tylko z racji nadzwyczajnych przymiotów, miejsca urodzenia, rodowodu naukowego, zasług lub związków z innymi górującymi w równorzędnych zbiorowościach, ale także niekiedy dzięki namaszczeniu przez czynniki wyższe.

Górujący budzą powszechny respekt. Próba dorównania im lub zajęcia ich miejsca grozi katastrofą lub zepchnięciem na margines populacji. Dopuszcza się wszakże korzystanie z wszelkich form kooperacji, symbiozy i komensalizmu. W populacji posiedzeniarczy osobnik górujący niekoniecznie musi być przewodniczącym posiedzenia lub prezydentem komitetu. On i tak w każdych okolicznościach będzie decydował co jest ważne, a co nieważne, co jest prawdą, a co nieprawdą. Osobniki górujące chętnie używają ulubionych zwrotów, z których najskromniejszy wyraża pełne utożsamianie się z wielką nauką i brzmi: „*Ja jako uczony...*”. Tego rodzaju wstępne stwierdzenie nigdy nie pozostaje bez oddźwięku i szybko po nim następni zabierają głos jeszcze bardziej uroczyście i jednoznacznie (por. wcześniejszy artykuł „*Logorea z kluczem do oznaczania dyskutantów*” – Wiad. Ekol. 4/1995).

Wiadomo powszechnie, że osobniki górujące nie tylko rzucają cień lub dają schronienie przed spiekotą lub wichrem całej zbiorowości. Są podstawą tej zbiorowości, bo głęboko są zakorzenione w glebie i w rzeczywistości społecznej. Jeśli z jakiegoś powodu taki górujący osobnik wywróci się lub powali go zawał, piorun lub inna nagła śmierć, długo i szeroko się o tym mówi, jak o wielkich wiatrołomach w lasach tatrzańskich lub Puszczy Białowieskiej. Ledwie to jednak nastąpi – jak w prawdziwym drzewostanie – zaczyna się natychmiast wyścig o wolne miejsce.

W odróżnieniu od drzew, niezbyt wielkie szanse ma tu osobnik, który dotąd należał do **klasy drugiej**, a więc **klasy panujących**. W populacji posiedzeniarczy takie miejsce może zająć szybciej osobnik z zewnątrz, często mało dotąd znany w danej dziedzinie, ale przekonany o swej misji lub do niej powołany przez czynniki wyższe. Jeśli w drzewostanie luka będzie wielka, to mogą pojawić się osobniki pionierskich, lekkonasiennych gatunków drzew. W każdym razie o ciągłości i trwałości populacji posiedzeniarczy decydują druga klasa wraz z **trzecią klasą współpanujących**. Między nimi jest też największa więź socjalna.

Przejścia z klasy do klasy są możliwe, zwykle miłsze z klasy trzeciej do drugiej. Osobniki tych klas zazwyczaj obficie kwitną i owocują bogactwem pomysłów, których dalszy rozwój kończy się na planach i sprawozdaniach.

Mamy wreszcie **klasę czwartą**. W drzewostanie tworzą ją drzewa opanowane przez sąsiadów, zwykle osłabione, często jednostronnie rozwinięte, wypełniające wnętrze lasu. Wśród posiedzeniarczy to milcząca mniejszość, bardzo jednak potrzebna dla zapewnienia większości w głosowaniu i propagowaniu idei wielkich posiedzeniarczy i kreowaniu osobników górujących. Z tej klasy rekrutują się niezawodni, długoletni sekretarze, łącznicy między posiedzeniarczami, pogodzeni ze swym losem. Osobniki z tej klasy w zasadzie nie zakwitają, nie mają szans na przejście do innych klas. Brak im energii, którą jeśli mieli, ztratili już w fazie podrostu.

Ostatnia, **piąta klasa**, skupia osobniki całkiem przygłuszone wieloletnim, bezproduktywnym uczestnictwem w tej zbiorowości. Przeważnie nigdy nie kwitną i nie owocują. Ich stopniowe zamieranie, a nawet wypadanie ze zbiorowości rzadko kiedy jest zauważane. Ich odejścia nie czci się chwilą ciszy ani nekrologami. Uwolnione przez nich miejsca długo czekają na wypełnienie. Jeśli udział w posiedzeniach jest płatny, chętnie oszczędza się rezygnując z powołania następców.

Opisany układ jest w zasadzie w swym ogólnym kształcie stabilny i trwa dzięki wspianiałemu procesowi ekologicznemu, fluktuacji. Jeśli katastrofa ekologiczna lub społeczna, tak dzisiaj modne, uszkodzą lub powalą owe struktury, powstają z dawna oczekiwane możliwości zorganizowania się od nowa i odbudowania raz wypróbowanej struktury. W zależności od wielkości i zasięgu strat, o odtworzeniu starej struktury decydować będzie jeden z dwu procesów: regeneracja lub sukcesja.

5. Samotne rozmyślenia i wnioski nie poprzedzone dyskusją generalną

Pomimo narastającej niechęci zdarza mi się jeszcze, chociaż coraz rzadziej, uczestniczyć w posiedzeniach naukowców poświęconych w gruncie rzeczy sprawom nienaukowym. Zapewne do końca z tego nie zrezygnuję, bo skąd brałbym niezbędne doświadczenia i przemyślenia. Dawniej bez większego umiaru korzystałem z każdej okazji, chcąc niecierpliwie wyrazić swój pogląd lub posprzeczać się z kolegami, nierzadko też narażając się różnym ważnym osobom. Jeśli dziś wypadnie mi takie niby-naukowe spotkanie, siadam sobie gdzieś na uboczu i rozmyślam. Niedawno wyrwany z myśli nagłym pytaniem przewodniczącego zebrania: „*co myślę o danej sprawie?*” (ważnej ponoć) odpowiedziałem: „*nic!*”. Zapadło milczenie. I to był mój wielki sukces. Po chwili zaczęto wątpić w sens naszego spotkania i mówić o stracie czasu.

Coraz częściej nie mogę oprzeć się wrażeniu, że te niezliczone posiedzenia inspirujemy jako ofiary osobliwego pożądania, które po byle jakim zaspokojeniu szybko mija. Nieliczne są nawet próby zmanifestowania swej woli rzeczywistego oddziaływania na bieg spraw publicznych lub podjęcia nowych badań naukowych, służących rozwiązaniu nabrzmiałych problemów środowiskowych lub społecznych.

Jeśli nawet są takie próby podejmowane, to raczej bez zainteresowania skutkami naszych rad i propozycji. Niepopularne są też działania na rzecz zmiany uprawnień danego ciała zbiorowego – z doradczego na decyzyjny lub nadzorczy, chyba że spodziewane są godziwe gratyfikacje, a niewielka odpowiedzialność.

Utrwalam się w przekonaniu o bezowocności owych niby-naukowych rad, komisji, komitetów... Poczucie straty czasu, odruchy niemal wymiotne..., to kilka skrótów myślowych na to wrażenie. Do niedawna jeszcze myślałem, że rezygnując z udziału w wielu zebraniach, ograniczam kontakty z kolegami i przyjaciółmi, tracę okazję do interesującej rozmowy i wymiany myśli. Ale bliscy mi ludzie nieustannie się śpieszą. I ja też się śpieszę. Dawniej rozmawialiśmy ciekawi siebie i swoich dokonań. Jeszcze niedawno wymienialiśmy komunikaty, dziś je tylko przekazujemy.

Czy śpieszymy się do swoich pracowni, do umiłowanych obiektów badawczych, do studentów? Pada odpowiedź, że na następne spotkanie lub do biurka, by napisać kolejny plan lub sprawozdanie, bez którego nie może się odbyć już zaplanowane posiedzenie. Poświęcamy na to nawet wolną sobotę, niedzielę i część urlopu, poświęcamy nawet rzeczy najważniejsze w życiu: własną pasję, przyjaciół i życie rodzinne.

Jeśli choć na chwilę kogoś z nas ogarnie zwątpienie w sens uczestnictwa w owym zbiorowym traceniu czasu, a zwłaszcza gdy dwa posiedzenia wypadają o tej samej porze, ten lub ów pozostaje w domu bez telefonu i stara się napisać z dawna odkładany artykuł. Jeśli to się powiedzie, szczęśliwie opowiada nazajutrz o tym kolegom, niezależnie od tego, czy spostrzeżono jego absencję na zebraniu. Ów przyjaciel, którego zacytowałem na wstępie, uwolniwszy się świadomie od uczestnictwa w niezliczonych posiedzeniach, już po dwu latach poświadczył swoje odrodzenie cenną i od dawna oczekiwaną książką.

W poszukiwaniu straconego czasu dzielimy się między sobą refleksją. Czasem ktoś stwierdzi, że za pieniądze, które pochłaniają niezliczone zebrania i wędrówki po kraju z posiedzenia na posiedzenie, można by urzeczywistnić niejeden doniosły projekt naukowy.

I oto na koniec pytanie o źródło owej plagi społecznej, którą niewątpliwie są niezliczone posiedzenia, ów system posiedzeniarnstwa, bez którego nie wyobrażamy sobie właściwego biegu spraw publicznych i które to zjawisko nie ominęło nauki i naukowców. Z pozoru może się ono wydawać niezbędnym atrybutem lub przejawem demokracji, według innych jest reliktem kolektywizmu pierwotnego lub komunistycznego. Zdaniem cyników to tylko sposób na upozorowanie niepopularnych, a niezbędnych decyzji, podejmowanych w ogólnym interesie.

Moja kpina, którą wnikliwy czytelnik zechce jednak przyjąć za wyraz troski, nie odnosi się do spotkań *stricte* naukowych, chociaż i na tym polu sytuacja staje się

coraz częściej krytyczna, jeśli nie kryzysowa. Wielu z nas brakuje bowiem coraz częściej sił i czasu, aby je należycie przygotować i przeprowadzić.

Gromadzenie uczonych na niezliczonych posiedzeniach w sprawach poświęconych nie nauce, a okolicom nauki, może potoczny obserwator rozumieć jako odwoływanie się do **zbiorowej mądrości uczonych**. Warte jest to założenie tyle, ile niedawna wiara, że zbiorowa mądrość klasy robotniczej zbawi ludzkość lub uratuje partię i naród.

Najzabawniejsze jest wszakże to, że **zaprasza się naraz tuzin indywidualności, by skłonić je do sformułowania i przyjęcia przez głosowanie wspólnego, ugrzecznionego wniosku niezgodnego z poglądem każdego z nich**. I to wszystko dla jakiegoś tam urzędu, który owoc naszego trudu bez czytania i próby zrozumienia doda jako niezbędny załącznik do wcześniej podjętej decyzji.

Celem bowiem znacznej liczby posiedzeń nie jest poznanie różnorodnych poglądów lub argumentów, z których być może tylko jeden okaże się trafny i oryginalny, ale posłużenie się autorytetem nauki dla spraw, które niewiele mają wspólnego z dochodzeniem prawdy. Oto do czego daliśmy się zaprzęgnąć!

W najlepszym przypadku nasze posiedzenia mogą służyć poszukiwaniu nowych koncepcji lub ocenie proponowanych rozwiązań praktycznych spośród tych, które w danych warunkach są właściwe. Ważna rola to także przewidywanie niepożądanych skutków. Niezbędna jest do tego umiejętność wysłuchania innych, dokonania wyboru i podjęcia odpowiednio do tego działań ze strony praktyków i administratorów, a potem nieustanna społeczna (niekoniecznie zbiorowa) kontrola tych działań i ich skutków. W wielu przypadkach posłużenie się doświadczonym doradcą, a nie całym zespołem naukowców, może się okazać wystarczające.

Tymczasem zapanowały osobliwe nastroje. Oto jesteśmy o krok od utrwalania się poglądu, że ranga spraw publicznych wzrasta dzięki udziałowi w nich uczonych. Najsmutniejsze, że niektórzy z nas podzielają ten pogląd. Inni nieomal uwierzyli, że każde zebranie, orgia lub uroczysta procesja z udziałem uczonych, staje się zebraniem naukowym, orgią badawczą, procesją intelektualną.

Janusz Bogdan Faliński (Białowieża)